

Stefan Paruch
TEBY WARMIŃSKIE

Pozostało we mnie jedno bardzo silne wspomnienie, które przychodzi za każdym razem, kiedy myślę o *plenerze z Bachantkami* w czerwcowym warmińsko – antycznym tygodniu. Na początku miałem wrażenie, że bawimy się jak dzieci. Rzecz w tym, że *Bachantki* Eurypidesa są dramatem mrocznym i wstrząsającym. Natomiast w Trękusie wcale dramatycznie nie było, raczej sielankowo. Rysując przy ognisku czy w stodole, oddawaliśmy się przyjemnym studiom z natury. Nasz *Bakch* brzdąkał pogodnie na gitarze, u jego stóp plątała się uwiązana do słupa kózka i skubała trawę. Gdy już wszystko w koło zostało obgryzione, wbijaliśmy palik gdzie indziej i zaczynaliśmy pracować od nowa. Ustawianie bardziej dramatycznych figuralnych grup nam nie wychodziło. Nasze dobre humory były dowodem, że bachiczny obłąd nas nie dotyka. Wtedy Dionizos postanowił nas skarcić. Dał nam do zrozumienia, że nie powinniśmy lekceważyć bóstwa, które przychodząc z daleka, domaga się od mieszkańców *Tebu* szanowania i strasznie karze opornego władcę...

Pewnego razu, kiedy po skończonej kolejnej sesji rysowania poszliśmy jeść i zostawiliśmy wszystko, dwa wilczury omal nie zagryzły naszej kozy – modelki. Nagle zobaczyliśmy prawdziwą siłę zwierzęcych instynktów. Koza z przegryzionym gardłem reanimowana była całą noc w sieni domu. Sielanka się ulotniła. Ta połowiczna ofiara złożona synowi Zeusa i Semele sprawiła, że poczuliśmy się nieswojo. Czy atmosferę tę udało nam się później przelać na prace, to już inna sprawa.



Zakładając, że Trękus to Teby, a stodoła w na podwórzu Joanny Stasiak – pałac królewski, trzeba przyznać, że Bóg Dionizos obszedł się z nami dość łagodnie. Koza podobno ma się dobrze, nikt nie został rozczłonkowany, a bachiczny szal zastąpiło widowisko Teatru Węgajty.

